

Dekada Literacka

Kraków ■ 16 — 31 V 1992 r. ■ Dwutygodnik ■ Nr 10 (46) ■ Cena 2000 zł

● Gawliński o Wygodzkim ● Przekłady Barańczaka ● C.d. rozmów
o literaturze ukraińskiej ● Krakowski o wrocławskim Triennale Rysunku ●



Było jednakowoż parę pierwszych lektur, które najpierw mi czytano, a które niedługo potem sam już czytałem i to po wielokroć, aż do dzisiaj. Wspomnę najważniejsze.

A więc przede wszystkim były to *Krasnoludki* Konopnickiej, król Blystek, Koszałek Opalek itd. Najbardziej intrygujący był dla mnie zawsze jednak Podziomek. Zwłaszcza jako podrzutek pomarszczony jakiś, z ogromną głową, jeść i jeść. *Puer-senex* antyczny. Ale

9, może 10 lat, czytałem więc sam. I może bym nie czytał, gdyby nie *Cudowne bajki* Dygasińskiego znane mi dobrze od lat już paru. Wracałem też do nich częściej niż do bajek Makuszyńskiego, które zresztą lubiłem, do *Sieroszewskiego: Dary wiatru północnego*, *Latorośle*, nie bajka właściwie tylko o dwu chłopcach, którzy wyruszyli mieli na jakąś wyprawę, zbierali suchary, wyruszyli nawet i spotkali jakiegoś „pobyłowego”; trochę jak ten *Cygan z Krasnoludków*. Byli oczywiście także i bracia Grimm, o których

rych tak słuchał partyzant Waluś — jak to wszystko trwa! Więc: „— Na pruskiej granicy była raz okrutna wojna, zwał tu jeden Napoljon ze swoimi; dopiero stanęli oba z Prusem tam za Częstochową, kaj są Panki, na jednym miejscu, i Napoljon powiada: — potąd twoje. — A tamten Prus rzecze: — Nie ustąpię, moje het po Wisłę do Nowego Miasta Korczynna, do Opato-wca!” Wszystko dobrze się skończyło, choć Napoljon był wiechetko, a tamten drał ogromny. Panienska z Jasnej Góry pomogła: „A temu Prusowi zaraz

LOGIKA KRASNOLUDKÓW

Mieczysław Porębski

Czytałem od urodzenia i czytałem wszystko — „Płomyczek”, „Płomyk”, „Na tropie”, „Kuzniec Młodych”, wtedy już także i gazety, „IKC” i „Gazetę Polską”. „IKC” miał znakomicie prowadzony dodatek tygodniowy naukowo-artystyczny, „Gazeta Polska” zresztą też, poza tym drukowała w edycjach ważne powieści *Nowolipki* czy *Niebo w płomieniach*.

Czytałem kalendarze i encyklopedie, encyklopedia dla młodzieży „Świat i życie” uformowała mój horyzont poznawczy, gdzie teraz taka?

Czytałem książki dziecięce, młodzieżowe i dla dorosłych. W okresie największego zapotrzebowania na lektury do-brze akurat się złożyło, bo z gabinetu ojca (mieszkał jak zwykle przy gimnazjum) były za dywanem drzwi wprost do nauczycielskiej biblioteki, nikt ich na klucz nie zamykał, wertowałem więc wszystko co było, od psychologii dziecka, pedagogiki i socjologii poczynając, a na pozycji skamandrytów (o których dbała nasza polonistka) kończąc. Czytałem oczywiście wszystkie szkolne podręczniki (te na rok bieżący zaraz we wrześniu) wszystkie obowiązkowe i nadobowiązkowe lektury. Trzech Wieszczów w całości, w wydaniach zbiorowych, razem z przypisaniami, całą też (no prawie) „Bibliotekę Narodową” ze świętymi (jak i dziś) wstępami. Pasjonowały mnie atlasy, zwłaszcza historyczne. Wszystko to razem, nie wiem, czy wyszło mi na dobre, zwłaszcza encyklopedie, umysł zrobił mi się encyklopedyczny, co teraz, kiedy zapo-koło się od różnych postmodernistycznych encyklopedystów, prowadzić może do nieporozumień. Cóż jednak robić, czasy takie, kończy się świat, jak się kończył już parę razy zresztą, za mo-jego życia też; a jeżeli nawet nie świat, to w każdym razie milenium. Czuję się więc po trochu Izydorem z Sewilli raczej niż porządnym ośmiennastowiecznym encyklopedystą-dyletantem (*il diletante*), czy dziewiętnastowiecznym zaufanym godnym polihistorem i poli-glotą. Choć odziedziczoną po nich (szczęśliwą, szczęśliwą) profesorską dość sobie chwalebnie.

Ale wracając do lektur. Moje, od dzieciństwa, skrzywienie logofagiczne miało i ten skutek jeszcze, że zanim przeczytałem jakąś książkę, już coś tam gdzieś o niej, czy z niej, czytałem, stąd wszystko było jakoś pomieszane, bohaterowie żyli niezależnie od lektur, krajobrazy, wydarzenia też zawsze gdzieś na horyzoncie były już przedtem, czekały, nieznanymi ładów odkrywałem niewiele, co może i szkoda,

to wiem teraz, ^{ale} jednak wtedy coś jakby przeczuwałem. Cały ten świat skrzętnie ukryty, ^{ale} wrócony na opak, królestwo krasnoludków, skrzalów, dziadów, pod-ziomków. Te ich dziwnie podejrzane kontakty z żabami, z lisem, z Cyganem. Cygan niby obey, a swojski jakiś, kiedy na jarmarku wozy podchodził, byłem trochę za nim, te okradzione baby tak śmiesznie lamentowały.

No właśnie, Francuski etnograf, z którym jestem zaprzyjaźniony, Claude Gaignebet nazywa to „czwartą religią”, w której znalazły schronienie różne z dalekiej wywodzące się starożytności przesady, wierzenia, podejrzania, obrządki. Te znikąd, spod progu, pieca, z au-delà, jak u Schulza, u Kantoru. Okazało się przy tym że i Francuzi mają swojego Podziomka, tylko że u nich nazywa się on „le changelin” — odmieniec. „Otóż gdy Natura — pisze Gaignebet — ulega największemu (powszechnemu?) zamieszaniu, a może nawet zmienia się Wielkie Wszystko, czyż nie nawraca się, nie wraca się wtedy do siebie samego? To wówczas, jak to wyjaśnia Platon w *„Polityce”*, pojawia się *puer-senex* drogi Dürerowi albo i „odmieniec” z naszych ludowych bajek”.

A te trzy inne religie? Myślę, że Gaignebet nawołuje tu do trój-podziału Dumézila. A zatem poza *sacrum* kapłańskim, poza królewskim, poza ludowym, dziadowskim, o którym zaraz będzie mowa, byłoby jeszcze to czwarte, cygańskie jakies, wyparte gdzieś pod próg naszej kolektywnej świadomości, ale czasem przecież wracające. Dlatego mimo wszystko do dziś trochę wierzę w krasnoludki. Coś w tym jednak jest.

Jak bowiem stwierdziła dowódnie pani Konopnicka, i to jej zdanie podzielam, krasnoludki są na świecie. Są jako pewna znacząca forma jego rozumienia, przeżywania, dociekania jego nieprostej pałubicznej istoty.

Krasnoludki, elfy, boginki, skrzydlate choinkowe aniołki, rogate-koźlonogie licha leśne, rokity.

Teraz jeszcze o tym *sacrum* ludowym, dziadowskim. Myślę tu o *Beldonku* Dygasińskiego. Kiedy wyszło nowe jego po tamtej wojnie wydanie, z kolorowymi w dodatku, całostronicowymi ilustracjami, miałem już może

jakoś się wiedziało, że nie są oni właściwie dla dzieci, był Andersen, niekoniecznie *Dziewczynka z zapalcami* bo smutne, nie „*Królowa Śniegu*”, bo tego lodu w sercu nie lubiłem, ale *Kaloszki szczęścia* na przykład, jakies historie z tabakierką, krzesiwem, ogniem na kominku. Trochę mgliście to pamiętałem, ale wiem, że był tam ów niezrównany klimat ożywionych rzeczy, które się miało lub mogło mieć tuż pod ręką. Bajki Dygasińskiego również były konkretne. Był tam *Topielec* z całą swoją podwodną rodziną, planetnicy przetaczający z hurkotem chmury na niebie, był, jak i w *Krasnoludkach*, podrzutek, tyle, że tym razem rzekomy syn boginki. To on właśnie przystał do planetników.

Budował się z tego cały jakiś, własnym rządzący się porządkiem ład kosmiczny, z morzami północy, pustynią, puszczą, którą pokonał król Huk-Puk (króla Huka-Puka brakło w powojennym wydaniu czytany przez moje dzieci, widocznie ktoś to uznał za niepedagogiczne).

Były zaklęte królowny, sen nieprzespany, dzielni rycerze, przekleństwo wiecznego czuwania w prążącym słońcu, na koniu, na pustyni właśnie gdzie lwy — Pan z Wielką Grzywą. Więc wszystko, co trzeba. Sporo okrucieństwa w tym wszystkim: „Za chwilę potem Jacka Gwoźdźcia rozdarły dwie pary koni, a król zaraz posłał karwę po rodziców *Jaska Cwieczka*. Na zamku było ogromne wesele — i koniec”. Otóż w *Beldonku* było to samo. Swojski, a przecież pełen dziwów świat, jak ta infernalna para (pewnie z sąsiedniego dworu) napotkana przez małego uciekiniera spod strzykowego rzemienia. Pojawili się w lesie, gdzie się ukrywał, muchy cięły. „Na jednym karym koniu siedział pan, a na drugim siwym jakimś cudak: musi nie chłop, bo nie siedziało okraciem, tylko tak, jak się na ławie siada”. I te konie poniosły, i zaraz potem zagrzmiało, „*Jakby kto zaraz furę kariofli zwał!*”. — Ha — myśli sobie Beldonek — „może ta i ci, co przejechał, naprowadził na las chmurę, mogli być planetniki”. Ten Beldonek potem aż do Częstochowy zawędrował z dziadami właśnie i z całą kompanią. Dziada Florka cenilem sobie na równi z Zagłobą. No i te jego opowieści niezłym u Różewicza, w *Do piachu*, któ-

grunt pod nogami tak oślizgi, że się przewalili, i Napoljon leży na wierzchu, a tamten pod nim na spodzie. — Oddaj mi choć Kłobuck — prosi ten Prus. — Nawet ci Panków nie oddam, wynoś się precz pod Blachowię, pod Praszkę — powiada Napoljon”. I wojsko całe Napoljonowe w śmiech, dostali po dwa półkwatarki wódki, Florck, bo w karczmie to opowiadał też.

Pamiętam dobrze, bo właśnie opowieść Florka przerzucała pomost pomiędzy światem haśni a światem historii, uczyła mnie, już wtedy, że i historia jest przede wszystkim, i tylko może, uświęconą tak albo inaczej opowieścią, trzecią wartością logiczną, jak te krasnoludki.

Również historia królewska, historia rycerska, przeciwstawne tamtej dziadowskiej i tamtej czarnej, niczyjej — *sacrum* ojczyzny. Urodziłem się w tym samym roku i miesiącu, w którym podpisywaliśmy zwycięski traktat ryski z bolszewikami, nie więc dziwnego, że wśród moich najwcześniejszych lektur poczesne miejsce zajął *Bohaterki* miś pani Bronisławy Ostrowskiej. Cudowna umiejętność ożywiania przedmiotów na pozór martwych („*Półki zaczęły opowiadać sobie wzajemnie jakąś niestworzoną historię o poszukiwanej przez cały dzień szpulce czerwonych nici*, *Krzesa śmiały się do rozpuści*, *Robiło się gwaranie i wesoło*”), wpisana w to historia wciąż świeża ludzi i rzeczy, lata 1914—18, ale i przedtem; („— to nie nasza wojna — skrzyknęła szorstko stara mahoniowa szafa. — Przypomniałaś ostatni kres: *świtki powstańcze*. Od tego czasu chowano we mnie samą tylko odzież powojenną. A czasami obce mundury. Nie ma naszych mundurów i nie ma naszej wojny”). Dowcipne i wierne rysunki Kamilla Mackiewicza na każdej stronie — także i zgłiszcza, także pochylona nad mapą sylwetka Komentanta, wszystko razem, i z tamtymi bajkami, i z przygodami Beldonka, zamykało się w kolejny krag usakralizowanych umiejscowień i odniesień o nieporównywalnym z niczym ukonkretnieniu: bo były tam przecież i białe matki-pałatki rosyjskich żołdaków i pruska, nie pozbawiona jakże ludzkiej po-

„Miłość jest wszystkim, co istnieje”

Wybór z wyboru trzystu arcydzieł angielskiej i amerykańskiej liryki miłosnej (w druku w Wydawnictwie a5)

w przekładach STANISŁAWA BARAŃCZAKA

Z cz. XVI: LEKKOMYŚLNE LABIRYNTY

John Wilmot, hrabia Rochester (XVII w.)

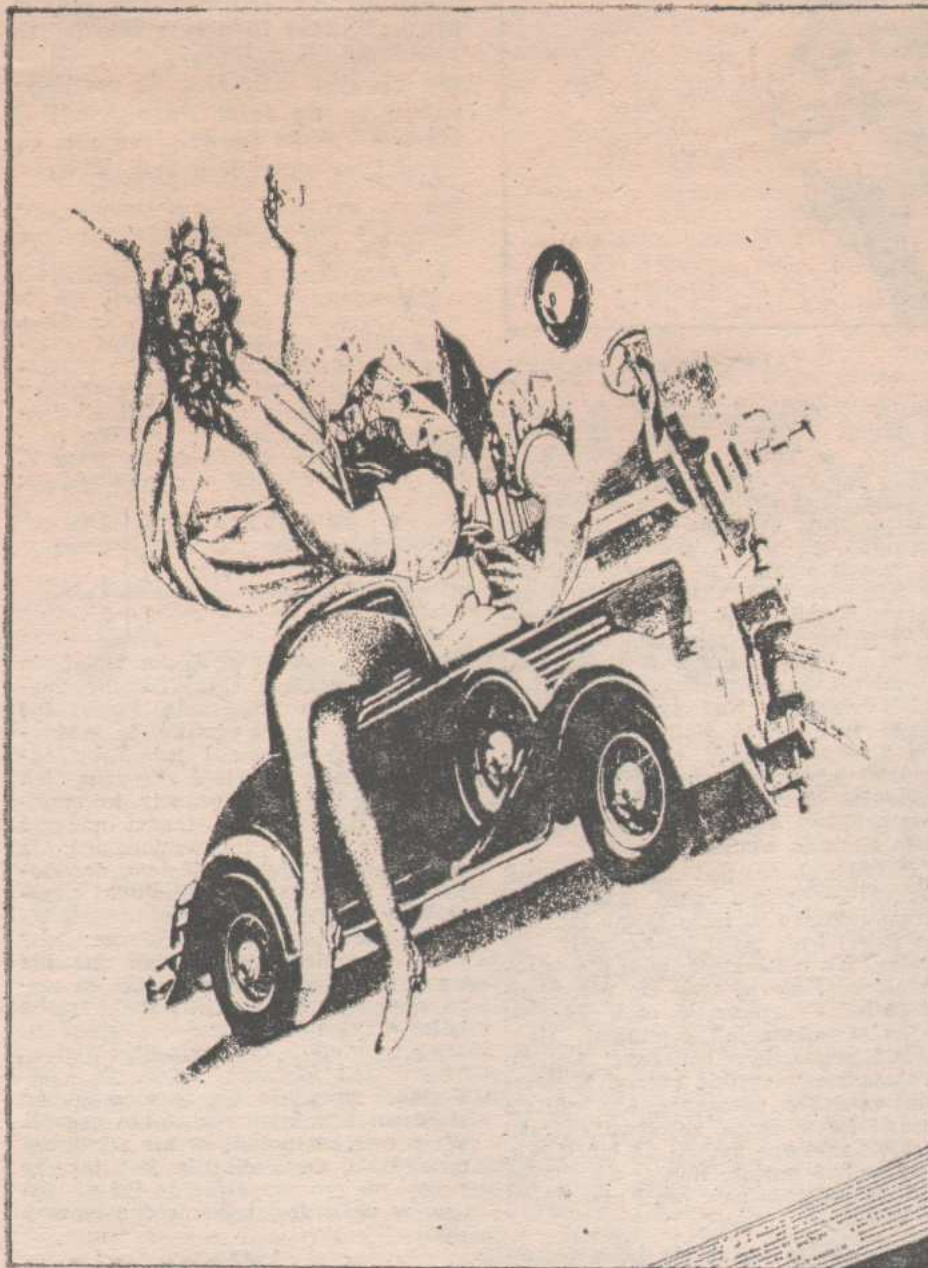
CHOĆ PORA MI W POWROTNA DROGĘ

Choć pora mi w powrotną drogę,
Nie pytaj, pani, kiedy wracam;
I tak znieść uciech już nie mogę,
Którymi dni rozłąki skracam.

Ramion nie skuwaj mnie obręczą:
Niech dusza moja, odmian chciwa,
Dozna mąk, które słusznie dręczą
Kogoś, kto więz dwu serc rozrywa.

Dość mając nędzy swoich wiecznych
Wyskoków, wrócę na twe łono,
W świat uczuć wiernych i bezpiecznych,
I skonam z duszą ukojoną —

Chyba że, znów się gdzieś urwawszy,
Rzucę się, w nowym swym wyskoku,
W wir grzechu — wstrętny, lecz ciekawszy
Niż wieczny spokój przy twym boku.



Rycina

ALEKSANDER PIĘNIAK

4 Dekada Literacka

Z cz. XVII: IRONICZNE IDYLLE

Kenneth Fearing (XX w.)

MIŁOŚĆ, 20 CENTÓW ZA PIERWSZE ĆWIERĆ MILI

W porządku, niech będzie, że kłamałem tobie i o tobie, że
zdarzały mi się troszkę za szerokie uogólnienia, możliwe, i
powiedzmy nawet, że nie wyrobilem się z tym czy owym
jakby wypadło,
I że kłamałem w żywy kamień te twoje rozmaite szusy, i że się
wyrażałem o twoich gustach, i szkalowałem twoją rodzinę, i
ohgadywałem za plecami paru twoich przyjaciół,
Dobra, niech będzie,
W każdym razie wróc.

Wróc do mnie. Zgodzę się puścić w niepamięć oświadczenia,
które tak obficie wygłaszałaś na użytek sąsiadów i prasy.
A ty za to puścisz w niepamięć ten twór swojej wyobraźni,
rzekomą blondynkę z Detroit;
Zgodzę się, że ta zaprzyjaźniona z tobą dama z piętra wyżej nie
ma fioła, hyzia, ani wyjątkowego wręcz kuku na muniu, ale
— całkiem przeciwnie — jest nawet dosyć bystra;
A ty uznasz, że mój nieszczęsny kumpel Steinberg nie jest ani
pijakiem, ani wydrwigroszem, ale po prostu facetem
usiłującym jakoś sobie dać radę w życiu, chociaż w sposób
może odrobinę nietuzinkowy.
(Słuchasz mnie, ty wredna, ty? Dociera do ciebie?)

Ponieważ wybaczam ci, tak jest, wybaczam ci wszystko,
Wybaczam ci twoją piękność, wielkoduszość i mądrość,
Wybaczam ci, najprościej rzecz ujmując, to, że żyjesz, i
rozgrzeszam cię, krótko mówiąc, z tego, że jesteś sobą.

Ponieważ dzisiejszej nocy stoisz mi przed oczami i czuję cię całą
skórą,
I każde światło na skrzyżowaniu, mijane przez naszą taksówkę,
ukazuje mi na nowo ciebie, wciąż ciebie,
I ponieważ tej nocy wszystkie inne noce są czarne, wszystkie inne
godziny zimne i dalekie, i teraz, w tej chwili, gwiazdy świecą
bardzo blisko i jasno.

Wróc. Uczynimy to taką fetą, że każda inna feta wysiada.
Zaprosimy przedsiębiorcę pogrzebowego z piętra niżej i paru
chłopaków ode mnie z pracy, i jeszcze trochę przyjaciół,
I Steinberga, który notabene już nie jest na odwyku, i tę wariatkę
z piętra wyżej, i paru reporterów, na wypadek jakby się co
stukło.

Z cz. XVIII: CIEMNIEJĄCE CHMURY

Sir Thomas Wyatt (XVI w.)

STRONIA ODE MNIE,
KTÓRE ONGI MNIE SZUKAŁY

Stronia ode mnie, które ongi mnie szukały,
Bosą stopą przez moje przestępując progi,
Ustępliwe, powolne, łagodne bywały,
Które dziś nie chcą słuchać o tej nocy błogiej,
Gdy po raz pierwszy, z wolna zrywając się trwogi,
Z ręki mi poczynały jeść; i którym ninie
Na pogoni za ciągłą odmianą czas płynie.

Dzięki Fortunie za to choć, że nie tak było,
Zem stokroć był szczęśliwszy; w tę noc osobliwie,
Gdy jedna z nich, odziana w cienką szatkę miłą,
Jedwabiom dała spłynąć i, biorąc mnie tkliwie
W smukłe ramiona, złote w tłącym się lucywie,
Ucałowała słodko, noc mi złącząc ciemną
Czulym szeptem: „Najmilszy mój, jakże ci ze mną?”

Nie sen to był, bo nie masz snów równych tej jawie.
Lecz anim wiedział, że sam, przez swą miękkość, zmienię
Całe szczęście w nieznaną do tej pory prawie
Niedolę odtrącenia, w owo opuszczenie,
W owo przez nią, tak dobrą, zadane cierpienie.
A przecie za jej czule oddane usługi
Tylem winien i tak bym chciał spłacić swe długi.

Rzadko odczytujemy dzisiaj powieści, które wysoko wyniosła fala polskiego października 56 r. Zbyt zaprzatają nam głowy kłopoty z naszą świeżą niepodległością. Nie ma też powodu ukrywać, że faktura „Matki Królów” Kazimierza Brandysa, „Ciemności kryją ziemię” Jerzego Andrzejewskiego, „Pojedynku” Jana Józefa Szczepańskiego mało kogo w pełni satysfakcjonuje jako dzieło sztuki literackiej, a tym bardziej jako prawdziwy zapis tragicznych doświadczeń naszych poprzedników na drodze ku wolności. Dzieje się tak po części jedynie z winy samych powieściopisarzy krajowych, którym zabrakło śmiałości i formy dość pojemnej, by zawrzeć prawdę o wynaturzeniach tamtego czasu. Prawdę, takie bowiem zobowiązanie podjęli pisarze polscy na grudniowym zjeździe Związku Literatów Polskich w 1956 roku. Jednakże domagali się jej wtedy prozaicy i poeci. Najdobitniej wypowiedział je Julian Przyboś:

„Prozatorzy zamiast pisać o Inkwizycji i kłamstwie politycznym w epokach odległych — mogą teraz odstąpić groźbę agentury Berii, dopiero co minioną w Polsce. Nic ich nie może powstrzymać od odstąpienia prawdy. Za przykładem pierwszego sekretarza Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej trzeba narodowi powiedzieć całą prawdę. Dla powiedzenia jej niekonieczne już alegorie, aluzje, międzystawie. Czytelnik przestanie darzyć kredytem pisarza tylko dlatego, że udało się temu jego pisarzowi uwolnić parę słów prawdy z więzów oficjalnej frazeologii”¹.

Ale „prozatorzy” nie sprostali kategorycznym wezwaniom liryka. Toteż daremne byłoby poszukiwanie całej prawdy w rozrachunkowych powieściach politycznych autorów pozostających w ojczyźnie ludowej. Nie tylko dlatego, że rychło powrócili oni do poetyki powieści z kluczem, kostiumu historycznego albo parabol.

Umiarkowana skłonność pisarzy do mówienia wprost miała swoje uzasadnienia. Wynikała z wiedzy o ograniczonej tolerancji władz partyjnych, które niemal natychmiast przystąpiły do ukrócenia chwilowych swobód.

To Gomułka już 24 października 1956 roku oznajmił entuzjastom odwilży: „dość wiecowania i manifestacji”, a parę miesięcy później wyraził zgodę na likwidację „Po prostu”, głównego organu publicystycznego młodych odnowicieli partii socjalistycznej. 2 kwietnia 1958 roku Wydział Propagandy KC PZPR zwołał krajową radę aktywu partyjnego wydawców, aby zapobiec kontynuowaniu „błędnej polityki wydawniczej”. Ostro wypowiedziano się tam przeciwko utworom „podcinającym wiarę w socjalizm” oraz „wulgarnym, antykomunistycznym literaturze porachunkowej, judzącej przeciw partii i jej ludziom”².

Wobec takiej wykładni zasad nowej polityki kulturalnej szanse literatury rozrachunkowej z „minionym okresem” zmalały w kraju prawie całkowicie.

Przekonują o tym dwie nieudane próby opublikowania powieści *Zatrzymany do wyjaśnienia*, która powstała jeszcze w 1957 roku. Jej autorem był Stanisław Wygodzki — człowiek o długim i nienagannym rodowodzie lewicowym. W lutym 1924 aresztowany za przynależność do Związku Młodzieży Komunistycznej, po odbyciu kary pracował w polskiej sekcji Międzynarodowego Biura Literatury Rewolucyjnej, od 1947 zaś do 1948 roku — w Ministerstwie Kultury i Sztuki; potem przez pięć lat kierował działem literackim Polskiego Radia. Stałość przekonań i wierna służba partii niewiele jednak ważyły skoro powieść o autentycznej sprawie Leona Ferszta niesłusznie oskarżonego o działalność prowokatorską w KPP skonfiskowano w dwu numerach „Twórczości” oraz w książkowej edycji PIW. Inkryminowane dzieło doczekało się druku do-

piero kilkanaście lat później w Instytucie Literackim paryskiej „Kultury”, kiedy rozgoryczony autor wyemigrował z PRL po antysyjonistycznej kampanii rozpętanej przez Władysława Gomułkę na jesieni 1967 roku. Cierpkim owocem tego wychodźstwa stała się powieść satyryczna *Pieskin* został pisarzem (wydana nakładem Polskiej Fundacji Kulturalnej, Londyn 1973). Przedstawia ona sytuację środowisk kulturalnych w kraju po rozgromieniu „syjonistów” i studentów przez jednego z głównych idoli *Pieskina*... szefa milicji obywatelskiej, Mieczysława Moczara.

Wypada tu zauważyć, że u podłoża wszelkich obrachunków Stanisława Wygodzkiego znajdują się osobiste i polityczne wypadki, których ciężaru nie doświadczyli jego koledzy po piórze o lewicowej proweniencji.

Twórca *Zatrzymanego do wyjaśnienia* tym na przykład różnił się od Jerzego Andrzejewskiego i Kazimierza Brandysa, że z ideologią komunistyczną związał się od wczesnej młodości. Po tem przeżył okupację w getcie dla Żydów i obóz oświęcimski od 1943 roku.

Przy tym punkcie widzenia motywacja powieści rozrachunkowej Wygodzkiego wydaje się oczywista; wynika z

dem jego uwięzienia i prześladowań stało się zapotrzebowanie kierownictwa na zeznania właśnie takich ludzi, „czytanych i szlachetnych”, ponieważ najlepiej uzasadnią one surowość organów UB szykujących Polakom procesy polityczne na wzór tych, w których bratnie demokracje ludowe skazały na śmierć Rajka, Słanskiego, Kostewa i innych. Główna postać powieści Wygodzkiego wyposażona została obficie we wszelkie przymioty moralno-partyjne. Cóż, kiedy nie dostało jej daru obserwacji, przyrodzonej bystrości rozumu otwartego na rzeczywistość. Dlatego posiada szczególnie ograniczoną wiedzę o prawdziwym stanie kraju i nastrojach obywateli. Dopiero dzięki współwięźniom, między innymi przedstawicielowi delegatury rządu londyńskiego, dowiaduje się o licznych absurdach doktrynalnych własnego obozu ideowego. Na przykład marksistowskiej interpretacji zdarzeń i procesów społecznych:

„Tam, gdzie potrzebna analiza polityczna, wy mówicie o pomyłkach, albo, co brzmi jeszcze śmieszniej, wdajecie się w analizę psychologiczną. To, co wy nazywacie pomyłką, ja nazywam po prostu fałszerstwem” przekonuje Szpakowatego w izbie chorych zmaltretowany delegat rządu.

Inny towarzysz niedoli, Żyd, komunista Aron Szklarz tłumaczy mu:

EMIGRACYJNE ROZRACHUNKI ZE STALINIZMEM

Cz. I

Stanisław Wygodzki:
„Zatrzymany do wyjaśnienia”

Stanisław Gawliński

chęci naprawienia zła, za które się współobwiniał. Zgodnie z komentarzem odautorskim *Zatrzymanego do wyjaśnienia* rozumieć trzeba jako „powieść o naprawie komunizmu, skargę towarzysza na towarzyszy partyjnych”. Dramatyczny ton tej skargi podnoszą autentyczne fragmenty wspomnień i listów głównej osoby utworu, który powstał w ciągu jednego miesiąca obrachunkowej gorączki — od 22 maja do 20 czerwca 1957 roku.

Bohater powieści wiele swoich cech i perypetii politycznych zapożyczył nie tylko u realnego Leona Ferszta, lecz także u swego twórcy. W każdym razie, Szpakowaty jest jednym z nielicznych oficjeli Komitetu Centralnego KPP ocalałych ze stalinowskiego pogromu w latach trzydziestych. Martyrologia takiego człowieka w Polsce Ludowej ma więc symbolizować losy rodzimej generacji komunistycznych działaczy w ojczyźnie opanowanej przez bierutowców. Właśnie on — zatrzymany chwilowo do wyjaśnienia w kwietniu 1949 roku — spędza w najrozmaitszych aresztach przeszło 6 lat izolacji, przesłuchań i tortur fizycznych.

Idea Wygodzkiego wydaje się przejrzysta. Chce on, mianowicie, przedstawić praktykę penitencjarną PRL w okresie „błędów i wypaczeń” od środka, oczami ofiary wewnętrznych porachunków i serwilizmu ścisłej czołówki partyjnej wobec moskiewskich mocodawców.

Niezłomny towarzysz Szpakowaty ukształtowany został więc jako czerwony Hiob — mąż prawy, wolny od kłamstwa i słabości pomimo okrutnych nieszczęść prywatnych. Jedynym powo-

przejął na portretowaniu okropności „błędów i wypaczeń”. Pod tym względem *Zatrzymany do wyjaśnienia* i *Matka Królów* mieszczą się bez przeszkód w kręgu partyjnej „hermeneutyki” Artura Koestlera, który podobnie zbudował swoją głośną powieść *Ciemność w południe*.

Z lektury takich dzieł rozrachunkowych wynosi się aż nadto banalne przekonanie o tym, że komunizm jest dobry, tylko niektórzy komuniści u władzy mają nie-dobre skłonności autokratyczne bądź sadystyczne.

Biadłając nad losami niewinnych ofiar komunizmu, prawie nie odkrywczego nie mówią ich twórcy na temat samego systemu.

Jest rzeczą zastanawiającą, jak mało rozbudowani intelektualnie są owi funkcjonariusze centralnych władz partyjnych osadzeni w więzieniach. Jak mało wiedzą o życiu tych, którym „służą” i jak bardzo nie rozumieją sensu gry politycznej, w której biorą udział w podwójnej roli — najpierw prześladowców, a później prześladowanych. Zabieg ścisłego limitowania wiedzy jaką posiadają postaci kreowane w powieściach rozrachunkowych poro odwilży, tłumaczy wypada tym, że żaden z ówczesnych pisarzy nie zaryzykował przekroczenia tolerowanych granic krytyki błędów partii, czy nadużyć władzy komunistycznej, która ogłosiła początek kolejnego cyklu „oczyszczania” niezmiennych i niepodważalnych pryncypiów.

Taka strategia rozliczeniowa pisarzy pozostających w kraju wynika z dość oczywistych pobudek. Ich odwilżowe teksty dopuszczano do druku, po przesileniu październikowym, z każdym dniem mniej liberalna cenzura gomułkowska.

Inaczej przedstawia się wszakże casus autora powieści *Zatrzymany do wyjaśnienia*. Stanisław Wygodzki prawie wypędzony z ojczyzny przez partyjnych współtowarzyszy nie umiał nawet na emigracji powiedzieć o ich rządach „całej prawdy” z innego powodu.

Trzydzieści lat po październiku 56 wyjawiał go autor z Izraela, gdzie osiadł na stałe:

„Tak, należałem do partii komunistów, która mordowała robotników, gnoila inaczey myślących, łamała opornych, drwiła z naiwnych, mając w pogardzie uczciwość (...). Pisałem o krzywdzonych, bezdomnych, poniżonych, którzy stali się niebawem krzywdzącymi i poniżającymi.

Zupełnie bez znaczenia jest fakt, czy ja osobiście skazałem kogokolwiek na nędzę moralną. Utrwalałem fałszywy mit o wielkości i czystości ludzi, którzy powinni być piękni tylko dlatego, że kiedyś ich prześladowano i poniżano.

W 1956 komuniści — moja partia — strzelali w Poznaniu do robotników. Mówiłem o tym jawnie na zebraniu partyjnym w ZLP, lecz nie odszedłem. Miałem za złe tym, którzy odchodzili. »Trzeba naprawić zło, w którym się uczestniczyło“⁴.

Pozostała nam zatem jedynie satysfakcja moralna, ponieważ innych oczekiwania czytelników „powieści o naprawie komunizmu” spełnić dzisiaj nie zdoła.

¹ J. Przyboś, O całą prawdę w literaturze, „Przegląd Kulturalny” 1956, nr 44.

² B. Fijałkowska, *Polityka i twórcy (1948—1959)*, Warszawa 1985, s. 485.

³ S. Wygodzki, *Zatrzymany do wyjaśnienia*, Paryż 1968, s. 149—150.

⁴ tenże w: „Arka” 1986, nr 16, s. 96—97.

i to całkiem realnie..”

i dziś mamy kolejne narodowe odrodzenie. I w tym kontekście, właśnie odrodzenia świadomości narodowej patrzą na naszych młodych poetów. Czy np. BU-BA-BU ma prawo do robienia eksperymentów wynoszących wszystko, co pojawia się, od razu na światło dzienne? Każdy pisarz robi kilkadziesiąt prób nim opublikuje gotowe dzieło. Czemu służy ta jaskrawa manifestacja sztuki? Oczywiście oni nie powiedzą tego, ale uważają, że przed nimi niczego w kulturze nie było. Ich pierwsze wystąpienia budziły szerokie zainteresowanie. Było to uwarunkowane potrzebą wyrwania się z tego estetycznego zastojów jaki bynajmniej nie był estetyczny, potrzebą buntu. Zresztą, szukanie nowych form było wieczną potrzebą literatury ukraińskiej, ale czy ci chłopcy powinni od razu wychodzić ze wszystkim do ludzi, traktując to w kategoriach sztuki? Czemu wynoszą na scenę obrazki ocierające o pornografię?

JURIJ ANDRUCHOWYCZ
— ur. w 1960 r., autor zbiorów poezji, cyklu opowiadań (druk w piśmie *Prapor*), powieści, tłumacz m.in. *Małej apokalipsy* Konwickiego. Wraz z Wiktorem Neborakiem i Oleksandrem Irwanem tworzy grupę BU-BA-BU (burleska-bałagan-bufonada).

BU-BA-BU. Fakt, że na początku stulecia przychodziło do literatury z gotowymi manifestami, zobowiązywał do budowania swej poetyki w obrębie zadeklarowanych granic. Nie chcemy wpisać się w takie ograniczenia. Owszem, tworzymy grupy, ale nie na płaszczyźnie estetycznej. Zresztą i tych grup jest niewiele: *Propała Hramota*, BU-BA-BU, *Nowa degeneracja* i amorficzny *Muzejnyj prowulok*, choć oni są raczej towarzyskim ugrupowaniem, jakie przyjęło małe przekonywające założenie, iż wszyscy pisząc będą wierszem wolnym. Pomimo wszystko, mówiąc BU-BA-BU, stwierdzamy, że istnieją pewne łączące nas rysy: odczucie świata na sposób karnawału, co wiąże się z przyjęciem kategorii maski. Chodzi także o zjawisko zanikania, degradacji podmiotu lirycznego. Rozmowy JA liryczne, wprowadzamy wszystko, co dotąd stało z boku. JA wydaje się już nieciekawe — ogranicza i ograbiła poetycki świat z treści lirycznych, wystawia na światło przede wszystkim osobiste problemy. Z nas trzech IRWANEC jest najbardziej do swego lirycznego wizerunku przywiązany, który my między sobą nazy-

wamy — niesłubnym dzieckiem *szíst-diesiatnyctwa*.

Powstanie grupy związane było ze zjawieniem się książek pokolenia lat 60. Wówczas — na początku lat 80. — powstała polemika: wszystkich poetów podzielono na dwie schematyczne grupy. Jednych nazwano *metaforystami*, drugich — *spowidykami*, czyli tymi, którzy wyznają, spowiadają się. I wywiązała się dyskusja, w której przeciwstawiano pojęcia jakich przeciwstawiać nie można. W pierwszym przypadku wzięto kryteria gatunkowe (poezja konfesyjna), w drugim stylistyczne, poetyckie (metafora) i... połamano wiele piór wokół tego rozróżnienia. My zaś postanowiliśmy zażartować z tego wszystkiego i odkryliśmy trzeci kierunek, będący wyznaniem metaforysty i metaforą wyznającego.

Oczywiście BU-BA-BU to także reakcja na tę straszliwą dewaluację słowa i poetyckiego patosu. Poetom lat 80. pozostała samoobrona przed tym zjawiskiem — tyle już pięknych słów wypowiedziano, a za wszystkim stało kłamstwo. Więc jedynym wyjściem stał się antypatos, negacja. Ale nie jest to destrukcja. Istotą karnawalizacji jest umowność całej hierarchii życia: to, co na górze zawsze może znaleźć się na dole i odwrotnie. Po prostu jedna z możliwości rozwoju, gdyż każde pewniki pozostawione jako prawdy niedotykalne stają się martwe. Aby im przedłużyć życie trzeba je przez cały czas weryfikować. Bachtin znakomicie utwierdził nas w tych przeświadczeniach.

Kiedy ktoś zapytał NEBORAKA, czemu zaczął pisać, stwierdził, że nigdzie nie mógł znaleźć wierszy, które by mu się podobały — więc sam je napisał. Podobnie było i ze mną. Kiedy debiutowałem, byłem nieukiem i sądziłem, że nikt tak przede mną nie pisał, o takich rzeczach i po ukraińsku. Gdy natknąłem się na ANTONY-CZA, wtedy pomyślałem: oho, jeszcze ktoś był ciekawy oprócz mnie... Wszystko to związane jest z problemem, iż wszyscy poeci mówiący po ukraińsku z momentem przybycia do miasta uczyli się rosyjskiego. Kiedy ktoś mówił po rosyjsku był już „miastowy”. Tymczasem ich poetycki świat, sposoby obrazowania były miastu obce. Czytelnik zaś nie znał ich wsi. W ten sposób w dużym stopniu zmniejszyło się zainteresowanie poezją ukraińską. Przypuszczam, że teraz powstawać będzie coraz więcej dobrej poezji — odwrotnie proporcjonalnie do liczby czytelników. Czytać będą zapewne tylko poeci i ludzie zajmujący się zawodowo poezją. Romantyczny stereotyp, że cały naród czeka słów stwórco i tylko on może zmienić życie narodu — zniknie. W momencie zmian otwarte dla słowa

są inne dziedziny — zamiast pisać wiersze, można przemawiać jako deputowany. A poezji pozostaje poezja.

DMYTRO STUS
— pracownik działu rękopisów Inst. Literatury, student V roku filologii ukraińskiej.

JEZYK. Wykłady oczywiście odbywają się po ukraińsku (choć w uniwersyteckim systemie nauczania niewiele się zmieniło), ale studenci między sobą rozmawiają po rosyjsku. Właściwie nie znam nikogo, kto by we wszystkich dziedzinach życia posługiwał się ukraińskim: jeśli mówią do ciebie po rosyjsku — tak samo odpowiadasz. Jest to również problem w literaturze, gdyż często pisarze przechodzą na rosyjski, stąd trudno czasem dokładnie określić przynależność do naszej literatury. Idealnym przykładem jest proza, gdzie bardzo ciężko stworzyć bohaterów charakterystycznych posługując się tylko ukraińskim. Podobnie w poezji *verse libre* obnaża fakt, że jest to język wyuczony. Przechodzenie na rosyjski miało dla twórców i tę zaletę, że gdy tylko okazali się ciekawymi, natychmiast imperium wchłaniało ich, nadal pozostawiając Kijów peryferium i prowincją kulturalną. Inna sprawa, że ci wszyscy zasłużeni pisarze skupieni w Związku Literatów znaleźli się dziś na bruku. Około 4 tys. osób. Jestem rad z tego, choć ci literaci nie potrafią niczego innego robić poza pisaniem traktatów o traktorach. Aby wyżyć, nie będą nawet tworzyć literatury komercyjnej. Krzyczą tylko, że oni zrobili tu niepodległość...

WASYL JAREMENKO
— wykładowca literatury staroruskiej na Uniwersytecie im. T. Szewczenki w Kijowie.

WASYL JAREMENKO:
— Tutaj jest jedna bardzo wielka groźba związana ze zmianą pokoleń. Młodzież, która rzuca się w biznes i robi to nieczystymi rękami. To nieczyste interesy i zarabianie brudnych pieniędzy. Najgorsze, że ten biznes przenosi się także do literatury. Wychowamy drobnego czytelnika nie przygotowanego do przyjmowania wartości duchowych. Jeżeli przez pokolenia wychowywaliśmy ludzi na literaturze realistycznej, to dziś mogą rozumieć tylko taką literaturę. Zmienić jej jakość, by nie była to tylko jedna propozycja, by padał na człowieka życiodajny deszcz: ciepły i chłodny, wiosenny i jesienny. On przyjmie wszystko w swojej wrażliwości. Ale do tego trzeba czasu i kadr. Bolszewickie hasło, że

kadry stanowią o wszystkim, ma w sobie dużo racji. Niczego tak ostro nie odczuwamy, jak braku nowoczesnie wykształconych ludzi.

Proszę spojrzeć: z tych 84 moich studentów pozostanie 10 — resztę można wyrzucić. To jest trwanie czasu dla tych, którzy chcą otrzymać tylko państwowe oceny i pokazać indeks rodzicom. Weźmiemy każdego studenta był pilnowany, każda jego myśl była kontrolowana. Dziś druga skrajność — puszczenie na głębokie wody. W Polsce można tak zrobić, ale nie tutaj, gdzie brak trwałych i solidnych podstaw moralnych, gdzie nie ma inteligencji. Może byłbym despotycznym nauczycielem, lecz wychowałbym godnych uczniów...

JEWHEN SWERSTIUK
— z zawodu psycholog, wiceprezes PEN-Clubu, redaktor naczelny periodyku Ukraińskiej Autokefalicznej Cerkwi, ukraiński dysydent, więzień lagrów.

— Myślę, że największą naszą bolączką jest brak wykształconych form życia zbiorowego. Nie ma żadnych klubów, spotkań, dyskusji. Być może dlatego, że taką możliwość mamy dopiero od dwóch, trzech lat, ale wszystko nadal odbywa się w stylu tego czasu, gdy świadomie oddzielano się ludzi od siebie. W latach 70. aresztowano nie tylko poetów, lecz także tych którzy integrowali grupy. Największym grzechem IWANA SWITLYCZNEGO było nie to, co pisał, ale że zbierał wokół siebie innych. Latą dziury w przestrzeni między ludźmi. Dziś organizowanie zebrań nie jest żadnym przestępstwem, a przyzwyczajenie izolacji pozostało. Przykład? Oto w 1989 r. oficjalnie zarejestrowano PEN-Club, jak wiele innych organizacji — tak, aby istniał, ale by go równocześnie nie było. I firmuje jakichś przypadkowych ludzi, którzy nie mają o czym rozmawiać i nie rozmawiają. Może sądzą, że PEN-Club da im medale, sławę, pomoże wydrukować książki? To jest tak, jak w Związku Literatów przed przyjęciem kandydatury pytano Czukezę, co czytał: Szekspira? może Dostojewskiego? Na to Czukeza: „Czukeza nie czyta — Czukeza pisarz”. Podobnie oni: mówią wciąż o sobie, tłukąc bez ustanku, jak w próżną beczkę. Tylko z tego żadnej muzyki nie ma, ani żadnego dyrygenta. To bardzo ważne, żeby rozmawiać z ludźmi, zadawać pytania, szukać.



MUZEJNYJ PROWULOK 8

— (Grupa poetycka powstała w 1990 r.)

WOŁODYMYR ŻOWNORUK

(ur. 1953 r.)

Wielki ogień

pełną zwierciadeł odbicia
pełną cienie i słoneczne promienie
w ogniu kurczą się jeszcze
chmury i deszcze

w polana zwęglone zmieniają się
języki rozognione

nie zajęły się tylko słowa
którymi rozpalono
WIELKI OGIEŃ

WITALIJ BORYSPOLEC

ur. 1962 r.)

DO wiadomości obywateli:

Przystanek serca
chwilowo przeniesiono
sto metrów dalej

OLEKSANDR BRYHYNEC

(ur. 1962 r.)

idę za dniem
a wszystko bliższe nocy
idę za wiosną
a wszystko bliższe jesieni
idę za tobą
a wszystko bliższe sobie

WIKTOR NEBORAK

ur. 1961 r., współtwórca poetyckiej grupy BU-BA-BU (Burleska-Bałagan-BUfonada)

Bubon

(sonet wygłoszony przez Latającą Głowę)

— Malujcie BAranowi BAbę
gęBAmi rozdziawia się doBA
BABU dytyrambem BUCzy BU
zęby wam wstawi BUBABU

poezja wyBUjała z garBA
gry groszy u garBA pogarda
BUNT BUNTów wyBUcha BUBABU
głowa od abecadła spadła

BAłaba BUcha gęBą BARD
czym świat zajęty — krzyczy teatr
grał będziesz wiersze jakich jest wart
trafisz do rajy (lub na montmarte)

BU śmierci — nieśmiertelności BU
i BU i BABU i BUBABU

(z tomiku „Latająca głowa”, Kijów 1990)

WROCLAWSKIE TRIENNALE RYSUNKU

Piotr Krakowski

Są właściwie trzy wielkie imprezy plastyczne w Polsce, które uzyskały wysoki artystyczny poziom i międzynarodową rangę: Międzynarodowe Biennale Plakatu w Warszawie, Międzynarodowe Biennale (ostatnio Triennale) Grafiki w Krakowie i Międzynarodowe Triennale Rysunku we Wrocławiu. 16 marca tego roku dokonano uroczystego otwarcia ostatniej z wymienionych imprez. Jest to duża wystawa, która zgromadziła 690 prac 309 artystów polskich i zagranicznych i od razu można powiedzieć, że ma istotne znaczenie nie tylko dla Wrocławia, ale także dla całego kraju. Daje bowiem możliwość konfrontacji i porównania osiągnięć różnych środowisk twórczych tak w kraju, jak za granicą, a także dostarcza wielostronnej informacji na temat aktualnych kierunków i postaw artystycznych w Europie i na świecie. Dla wielu polskich artystów jest Triennale Rysunku — podobnie zresztą jak Triennale Grafiki — prawdziwym oknem na świat.

O co chodzi organizatorom tej ambitnej imprezy artystycznej i jakie są jej założenia ideowe? W regulaminie czytamy, że celem triennale „jest przedstawienie osiągnięć sztuki, ujawniającej się w dziedzinie rysunku”. Chodzi o to, że „rysunek jako przejaw sztuki in statu nascendi wydaje się tą dyscypliną, która jak seismograf notuje indywidualne racjonalizacje i intuicje, przenosząc je w formie znaków artystycznych w obszar sztuki”. Tyle na ten temat powiada regulamin. Ale trzeba od razu podkreślić, że rysunek jest tu rozumiany bardzo szeroko. Nie jest to przegląd rysunku w znaczeniu tradycyjnym. Chodzi o rysunek, który staje się samodzielną i pełnowartościową domeną twórczą, dającą artystom właściwie nieograniczone możliwości poszukiwań i eksperymentów. Stąd na wystawie tak ogromna rozpiętość odmian i „gatunków” owych rysunkowych zapisów — od tradycyjnego rysunku tekowego aż po działania w rodzaju instalacji (M. KOŚCIELAK, M. CZAIŃSKA, S. SOBCZAK, L. WEINBERGER).

Rysunek jest już dziś wyodrębnionym gatunkiem artystycznym. „Wyniesiony został — jak to podkreśla w swoim wstępie do katalogu Bożena Kowalska — do samodzielności na fali nowatorskich poszukiwań sztuki, obalającej ostatnie bariery zwyczajowych nakazów i zakazów”. Kowalska interesująco przedstawia tę drogę, wykazując równocześnie, jak wielkie międzynarodowe imprezy — np. *Documenta* w Kassel — rejestrowały gwałtowny rozwój tego nowego, a jednocześnie bardzo starego gatunku artystycznego. Zamyka swoje wywody cytatem ze wstępu Hansa Alberta Petersa do katalogu wystawy *Drawing Now* w Baden-Baden (1976), iż [rysunek] całkowiec wyzwolił się od malarstwa (...) zyskał zdumiewającą szczerość, wchłonął w siebie malarstwo, dał mu szansę przetrwania w rysunku”. Może jest w tym stwierdzeniu nieco przesady. Jak mi się wydaje i co starałem się podkreślić w moim wstępie do katalogu, „rysunek nowoczesny, oczywiście ten jak najszerzej pojęty, w wyniku oddziaływań różnych kierunków, tendencji, postaw artystycznych rozmnaża się w ogromną różnorodność formuł, nie wyrzekając się jednak swojego szczególnego charakteru: prologu do czegoś, klucza, który otwiera pewien problem artystyczny, sygnalizuje go, zapowiada w sposób skrótowy”.

Tegoroczne Triennale Rysunku dobrze informuje o „nowej sytuacji” w sztuce. Na wystawie znajdujemy dzieła bardzo różnorodne — poczynając od skrajnie zrationalizowanych (R. CROZIER), poprzez prace podporządkowane rygorom abstrakcji geometrycznej (R. OTRĘBA, T. WIKTOR, K. STAUDT), aż po przykłady tradycyjnego, w dziewiętnastowieczny

sposób rozumianego rysowania ołówkiem czy piórką (A. PANZERA, D. PIĘTKOWSKA, J. KULTKOWSKI).

Rzucają się w oczy charakterystyczne, a wypracowane jeszcze w latach siedemdziesiątych postawy, zaznacza się synkretyzm różnych kategorii formalnych, wykorzystywanie doświadczeń wcześniejszych kierunków artystycznych, które stają się trudne do rozgraniczenia, gdyż łączy je jakaś wspólna pierwotna duchowa przestrzeń. Artyści dążą do odkrywania nowych światów, przekształcanych potem w materię twórczości. Stąd ich zainteresowania skierowane w stronę swoistych quasi-naukowych systemów, które znajdują odbicie w dokumentacji i rekonstrukcji zarówno realnych jak i fikcyjnych światów. Z tego rodzaju twórczością ściśle łączy się utrwalanie śladów rzeczywistości tak aktualnej, jak

tyzmem stanowią niewątpliwą atrakcję. Niemiecka artystka RUNE MIELDS zaprezentowała tylko jedną kompozycję. Jej twórczość związana jest z abstrakcją; opiera się na systemach matematycznych, stanowiących podstawę wizualizacji zarówno w zakresie malarstwa jak i innych rodzajów artystycznych, przy jednoczesnym zachowaniu estetyzująco-dekoracyjnej funkcji dzieła sztuki. Tekstowo-figuralna kompozycja amerykańskiej plastyczki NANCY SPERO pozornie nawiązuje do grafiki książkowej. Łączy fragment tekstu Bertolda Brechta z postacią nagiej, spętanej sznurem kobiety, przez co zespala różne układy znaczeniowe, wprowadza grę odmiennych kodów. ENDRE TÓT, węgierski artysta osiadły od 1968 w Niemczech przedstawił kompozycje maksymalnie uproszczone, zaznaczone jedną kreską, o wyraźnie

powojennej polskiej awangardy, wykorzystujący w swej twórczości tworzywo fotografii. Podobne zainteresowania warsztatowe ujawniają się w figuratywnych „odbiciach portretów” KRYSZYNY PIOTROWSKIEJ, reprezentującej obecnie Szwecję. Spośród Japończyków na liście wyróżnionych znalazł się AKIRA MATSUMOTO z trzema pracami abstrakcyjnymi. W kompozycjach angielskiego artysty ROBIANA CROSIERA (o wyraźnej polskiej tematyce) dostrzec można postawę bliską sztuce mentalnej. ROYDEN RABINOWITCH zamieszkały obecnie w Belgii poświęca pracę Tadeuszowi Kantorowi (*April for Tadeusz Kantor*). KLAUS STAUDT z Niemiec prezentuje oszczędną w wyrazie abstrakcję geometryczną, a JANA WISNIEWSKI z Wiednia, znana zresztą w Krakowie z niedawnej prezentacji fotografii w Centrum Kultury Nowoczesnej, wykorzystuje w swej pracy formy zbliżone do odcisków czy linii papilarnych. Interesująco także przedstawiają się „strefy mroku” STEPHENA WILLIAMS. Artysta ten zauważony przez jury zaraz na początku, uległ w toku dyskusji jakby zapomnieniu i jego subtelne kompozycje, bardzo artystycznie atrakcyjne przypomniano sobie dopiero w ostatniej chwili.

Na zakończenie warto podnieść zasługi organizatorów wrocławskiego Triennale Rysunku, dwójga znanych artystów NATALII LACH-LACHOWICZ i ANDRZEJA LACHOWICZA. Natalia Lach-Lachowicz po śmierci przewodniczącego triennale, wielce zasłużonego dla Wrocławia artysty ANDRZEJA WILLA, objęła jego funkcje. Andrzej Lachowicz, który sam kiedyś brał udział w triennale jako wystawiający i otrzymywał nagrody, był komisarzem wystawy i autorem znakomitej ekspozycji.

Międzynarodowe Triennale Rysunku — jak to napisał Andrzej Will — „przekształca się powoli w Międzynarodową Wystawę Sztuki Współczesnej”. Jest ciągle żywe i stale wzbogaca się o nowe pomysły.

MIĘDZYNARODOWE TRIENNALE RYSUNKU. Muzeum Architektury, Wrocław — marzec 1992. Autorzy koncepcji i realizatorzy wystawy: NATALIA LACH-LACHOWICZ i ANDRZEJ LACHOWICZ.



Rys. KRYSZYNA PIOTROWSKA — wyróżnienie, V MTR.

i przebrzdalałej, realnej i fikcyjnej, przy wykorzystaniu fotografii, kopii, rekonstrukcji itd.

Przyznane nagrody dobrze — jak mi się wydaje — odzwierciedlają dominujące aktualnie tendencje w sztuce. Najpierw sprawa Grand Prix. Otrzymał ją młody, cieszący się ogólnym uznaniem tak w kraju, jak i za granicą, artysta z Lublina — MIKOŁAJ SMOCZYŃSKI. Trzeba powiedzieć, że pogląd na sprawę głównej nagrody nie był jednoznaczny. Bowiem obok Smoczyńskiego do nagrody pretendowali artyści już uznani, o dużej renomie. Ostatecznie przyjęto zasadę, że Grand Prix będzie nagrodą promującą, pozostałe zaś nagrody równorzędne oraz wyróżnienia honorowe rozdzielone zostaną między artystów posiadających już utrwaloną pozycję artystyczną w skali międzynarodowej. Prace Mikołaja Smoczyńskiego wykonane zostały techniką fotograficzną. Swoimi głębokimi, czarnymi przestrzeniami stwarzają nastrój tajemniczych pejzaży, niepokoją szczególnym klimatem, wydobyłym poprzez skomplikowane zabiegi techniczne.

Laureaci pięciu nagród równorzędnych to rzeczywiście artyści wybitni i znani na świecie. JAN BERDYSZAK, artysta poznański, jest od lat związany z wrocławskim triennale. Jego twórczość opiera się głównie na refleksji intelektualnej. Artysta interesuje się przede wszystkim zagadnieniami przestrzeni. Toteż przecina, rozбивa powierzchnie swoich obrazów czy rysunków. Każdorazowo szuka styczności między tym, co jako artysta materializuje w swoim dziele, a tym, co jest przestrzenią w całej swej zmienności i samoistności. MILAN KNÍŽAK pochodzi z Czecho-Słowacji. Związany był kiedyś z grupą Fluxus i działał jako happenner. Jego pokazane we Wrocławiu, pełne ekspresji, a jednocześnie humoru prace, nasycone swoistym ero-

sladowym charakterze podług Sassetty, Antonio da Firenze i Leonarda. W owe lapidarne rysunki wkomponowywane są złote elementy odpowiadające obramieniom obrazów. Tót świadomie stara się nawiązać do wymienionych wyżej artystów włoskich, stosując zasadę „cytałów”. W nowych jednakże kontekstach zyskują one odmienne znaczenia i oryginalną wartość artystyczną.

Można odnieść wrażenie, iż jury powodowało się bardzo wyrafinowanymi kryteriami oceny, zwłaszcza jeśli chodzi o dobór laureatów nagród równorzędnych. Podobnie można by sądzić w przypadku dziesięciu wyróżnień honorowych. Wśród wyróżnionych znalazło się dwóch, a właściwie czworo Polaków: JANUSZ BAŁDYGA z interesującym cyklem *Wychyleń*, JAN DOBKOWSKI, autor znakomitych, kreślonych cieniułką kreską kompozycji *Genesis*, a także zamieszkały obecnie we Francji ZBIGNIEW DŁUBAK, jeden z współautorów

PRO DOMO SUA

„Dekada Literacka” gościła w Galerii Uniwersyteckiej w Cieszynie podczas wernisażu wystawy malarstwa Andrzeja Welmińskiego (26 II). W sytuacji, kiedy z dnia na dzień upadają instytucje kulturalne, gdy rwą się istniejące więzi, ta próba nawiązania kontaktu między różnymi środowiskami zasługuje na przychylną uwagę. Cieszyn sprzyja podobnej wymianie. Prężnie dotąd działająca Galeria Uniwersytecka — jej był ostatnio jest zagrożony ze względu na brak dotacji — zasłużyła się zorganizowaniem wielu ciekawych wystaw, z których większość poświęcona była prezentacji artystów krakowskich (cykl „Sztuka na Uniwersytecie” pod patronatem doc. Jerzego Wrońskiego, wykładowcy w cieszyńskiej szkole artystycznej i zarazem prezesa Grupy Krakowskiej). Brak pieniędzy skłania również do niekonwencjonalnych pomysłów. Dzięki temu tegoroczny 4. numer „Dekady Literackiej” (16—29 II), w którym zamieściliśmy artykuł poświęcony twórczości Andrzeja Welmińskiego, mógł posłużyć podczas jego cieszyńskiej wystawy jako... katalog. Mieliśmy nadzieję, że kontakt ten nie będzie efemeryczny i nasze pismo zyska sobie wśród nauczycieli i studentów filii artystycznej Uniwersytetu Śląskiego wiernych czytelników.

(AB)

Maj we Wrocławiu

Barbara Sola

Maj we Wrocławiu jest jedyny i nieporównywalny z majem w żadnym innym mieście. Mieszkańcy stołeczno-królewskiego miasta np. nie mają pojęcia jak pachnie majowy wiatr, dlatego że Kraków leży między żółtymi pagórkami i przykryty jest żółtą czapą. Nad Odrą, gdy tylko jakiś przeciąg zahuczy na Swidnickiej, wrocławianie mówią, że to wieje bryza znad Atlantyku. I co dziwne, niekiedy mają rację. Zwłaszcza rację mają wrocławianie-reumatycy przekonani o tym, że wilgotne szare obłoki posolone są w ich mieście solą atlantycką.

Z takich samych powodów, z jakich maj we Wrocławiu jest najbardziej zjawiskowym miesiącem, najbardziej oryginalnym spośród liryków nadodrzańskich jest Styczeń Janusz. (Tu wyjaśnię, że niniejszy felieton nie zajmuje się poetami-doktorami i poetami-doktorami — honoris causa) Styczeń Janusz przyjmuje aspirantów literatury przy swoim stoliku we wrocławskim klubie „empik” przez wszystkie miesiące w roku. Nad Odrą „empikowi” poświęcono wiele stron. „Empik”

wrocławski jest, bowiem, jedyny i nieporównywalny z „empikiem” w żadnym innym mieście. Mieszkańcy stołeczno-królewskiego miasta, którzy tykali się literatury, nie mają pojęcia np. jak smakuje prawdziwa herbata z cytryną, ponieważ pili tylko zwykły kompot z rabarbaru w stołówce przy ulicy Krupniczej. Na część tego kompotu układali literaci ze stołeczno-królewskiego miasta treny i eklogi. Ale rymy nie zastąpiły smutnej prawdy, że pisarze galicyjscy nie znają smaku prawdziwej herbaty z cytryną. Taką herbatę podają we wrocławskim „empiku” przy placu Kościuszki. Szklanka stoi tam na stoliku, we wnętrzu szarobrazowym i wypełnionym kłębam dymu. Wszyscy obecni wyciągają słuch, bo Styczeń Janusz czyta właśnie swoje najnowsze wiersze. Przy jego stoliku siedzą prozaicy: Pluta Jerzy i Dyczek Ernest. Trochę dalej (w odległości jakichś paru tysięcy kilometrów (siedzą w fotelach) dobrze zapowiadający się lirycy: Urszula Benka i Maciej Niemiec. A najdalej stoi i słucha uważnie, oparty o ścianę, poeta Rafał Wojaczek.

TEATRZYK RYSUNKOWY



Aleksandra Piénka

Camera Obscura

W niedawnym numerze „Czasu Krakowskiego” Andrzej Nowak (w felietonie „Prorok naszego czasu”) demaskuje Andrzeja Szczypiorskiego jako „absolwenta pezetpeerowskiej Akademii Nauk Politycznych”. Powtórnie czytamy o tym w ataku na Szczypiorskiego w „Arce”. Z autoryzowanego biogramu Szczypiorskiego w „Słowniku współczesnych pisarzy polskich” wynika, że studiował tam w r. 1946/47, na wydziale humanistyczno-dyplomatycznym. Jeśli nie Andrzej Nowak, to redakcja „Czasu” i „Arki” powinny wiedzieć, że 1) w tym czasie działała PPR; PZPR jeszcze nie istniała, 2) Akademia Nauk Politycznych do r. 1946 była uczelnią prywatną, a potem państwową, ale bynajmniej nie partyjną. Znając ogólne stosunki na wyższych uczelniach, można zasadnie przypuszczać, że wpływy partyjne na Akademii Nauk Politycznych były w tym czasie jeszcze niewielkie.

Krzysztof Rutkowski („Gazeta Wyborcza” nr 35) powtarza za Alainem Besanconem, że „gdyby Lenin miał stosunki erotyczne, to w XX wieku miliony ludzi nie cierpiałyby tak bardzo. Ale z Krupską? Nie, z Krupską nie sposób”. Nie rozstrzygając pytania o możliwości erotyczne Krupskiej, zauważmy, że Lenin miał wielki romans z bardzo interesującą kobietą Inesą Armand (1874—1920). I cóż? I tak nie nie pomogło.

HYDE PARK czytelników

Dzisiaj kolej na prezentację dwóch wierszy z bogatego zestawu zaproponowanego przez ANIĘ GORECKĄ, licealistkę z Krakowa. Te wiersze akurat najbardziej nam się spodobały, choć nie są wolne od drobnych potknięć. Najważniejsze, że mamy do czynienia z samoistną poetyką, aurą pewnej niesamowitości, zapisem niewątpliwie głębokich przeżyć.

Zwierzzenia córki Hioba

Każesz mi tleć jak okruszynka
Kropelki uczuć nanizają się na żyłkach
Złocutka pajęczynka dożywcia
Zerwie się z trzaskiem za chwilę

Bo człowiek rodzi się na niedole
Jak iskry z pożogi aby wysoko wiałatac
Wypełniać świętą wolę
I w bólu serca wracać

Kiedyś zemrę po cichutku
Z piąstką wdartą w stronie Pisma
Będę śnił o jego pocalunkach
Nieścisłe grzeszna i grzeszna nieśmiertelniczka.

Witold Turdza odkrywa nie znane arcydzieła

ADAM NARUSZEWICZ

Wiek zepsuty

Dosyć jest nie mieć tylko na czele sromoty.
Już jest i bohater — otóż mi wiek złoty.
Niech no tylko szalbierstwem dojdzie kto urzędu,
Marga, dudek, ani chce swego poznać błędu.
Leda lajda pozłota błyszczą zwierzętnia wielce,
Za nic czego umysłu przyrodzone szmelce
Ma, na innych surowy, na przetak zawiesznie
Bierze drugich a ozór świeżbiący go cisnie.
Podły, kto chytre w cnotę przestroił wykrety,
Kto drze kmięcia, z gołymi puściwszy go pięty,
Kto na wszystko zamknięta ma myśl oprócz zysku,
Kto w odcętym usadził smocze jady pysku.
Podły też, kto w potrzebie przyjaciela zdradza,
Pod czyj nos wdzięcznej woni upuściła władza,
Ze cudzym hardy plonem, wzniośszy nos do góry,
Pierwsze chce przed drugimi miejsce brać i piory
Stroi się błyskotnymi, jako mędrki nowe
Modnymi dziś nauki wymębluje głowę.
W niesfornej gadaninie jeden sens wylata
I stawi zdumiałemu światu — to intrata.
Podły więc, dla intraty kłamstwa kto nie brzydzi,
A o sprawiedliwości, wszędy trąbiąc, brzydzi,
Głochowatnie aby świat oczyszczał mieni się,
Choć klekce prawdziwie jak orzechy w misie.
A owże rękolepca, wyrodek bezwstydnym,
W myśl bogaty szalbierza, przeniwierca widnym.
Co brzydkiego za model wzięwszy Merkurego,
Nie zna miary, zła kiedy przydaje do złego.
Gorszy nad wszystkie franty, z wilczym apetytem
W cudzą kieszeń styruje, z cukrem w uszach przy tem,
Brzech opasa ładowny tym co drugim złupi,
Szezery, słaby ten mniema że tylko jest głupi,
Nazywa się niewinnym, alic rzekło kradnie.
I wilk pogoń uludził, wdziawszy na się jagnię.
Lubo głosi, że łorem idzie cnoty, zgody,
A okleśni kozicę, nie dojdziez swęj szkody.
Bodaj kości przewietrzyć takiemu na haku,
Co człeka rodzaj hańbi poczciwy bez braku.
Lecz widzę, że już nadtom rymów napaskudził
I drukarza unęczył, czytelnika znuził.

DEKADA LITERACKA — dwutygodnik kulturalny. Wydawca: Wydawnictwo „Gazeta Krakowska”, Spółka z o.o. Adres: 31-072 Kraków, ul. Wielopole 1 IV piętro. Redaguje zespół: Zbigniew Baran, Leszek Elektorowicz, Krzysztof Lisowski (sekretarz), Jerzy Lohman, Włodzimierz Maciąg, Jan Prokop, Bogdan Rogatko, Dorota Terakowska (redaktor odpowiedzialny), Teresa Walas, Maria Wyka. Współpracują: Danuta Abrahamowicz, Stanisław Balbus, Anna Baranowa, Waclaw Iwaniuk (Kanada), Stanisław Lem, Leszek A. Moczulski, Tadeusz Nyczek, Leszek Polony, Stanisław Rodziński, Marek Rostworowski, Jan Józef Szczepański, Wisława Szymborska, Witold Turdza, Lucyna Walas — redaktor techniczny, Aleksander Piének — grafik.

Dyżur redakcji: poniedziałki, godz. 13—15, tel. 22-36-23; piątki, godzina 16.30—28, tel. 22-65-48.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie prawo do skrótów. „Dekada” najpewniejsza w prenumeracie: 30 tys. kwartalna, 60 tys. półroczna. Wpłaty należy dokonywać na konto: Wydawnictwo „Gazeta Krakowska” — PKO I OM 35510-1804334-136. ISSN 0867-4994